

Fragment relacji świadka historii



TERESA ZAPOTOCZNA

ur. 1947, Wrocław

Teresa Zapotoczna wspomina matkę – Bożenę Pawłowską

Moja mama to Bożena Pawłowska, z domu Grabowska. Jej rodzicami byli Emilia i Kazimierz Grabowscy, a dziadkami Michalina i Józef Grabowscy. No więc to jest jakby kontynuacja tej dalszej linii. Mama urodziła się w Jarosławiu, kiedy dziadek jeszcze był w wojsku. Do Warszawy przeprowadzili się, kiedy dom już był wykończony, więc chyba w 1930 roku. Dom ten został wybudowany na ulicy Felińskiego 20, czyli naprzeciwko kościoła pod wezwaniem świętego Stanisława Kostki. Tam mama przyjęła pierwszą komunię i tam mieszkali do 1938 roku. Na parterze były salony i inne pomieszczenia. Na pierwszym piętrze mieszkali dziadkowie mojej mamy, czyli Michalina i Józef Grabowscy, którzy wtedy już byli emerytami. A na drugim piętrze były sypialnie chłopców i mojej mamy. Chłopców, czyli trzech braci mojej mamy. Bracia to: Zbyszek urodzony w 1917 roku, Leszek w 1919, Zygmunt w 1921. Mama urodzona w 1925 roku była najmłodsza. Bracia mojej mamy chodzili do liceum imienia Poniatowskiego na Żoliborzu, do tak zwanej „Poniatówki”. Na a moja mama zaczęła pierwszą klasę gimnazjum jeszcze w Warszawie.

Ponieważ w 1938 roku dziadek mój został oddelegowany do Kałusza jako syndyk bankowy [powinno być: jako dyrektor administracyjny kopalni Towarzystwa Eksploatacyjnego Soli Potasowych w Kałuszu – dop.red.], no więc babcia sprzedała ten dom. Kupiła mieszkanie w Warszawie i wszyscy, babcia z dziećmi, dojechali do dziadka do Kałusza, z tym że dwóch braci mojej mamy już studiowało. Natomiast Michalina i Józef Grabowscy, czyli dziadkowie mojej mamy, przenieśli się do jednego z braci mojego dziadka, do Mieczysława, najmłodszego brata. Dodam, że żona Mieczysława Grabowskiego, czyli najmłodszego brata mojego dziadka, to pani Janina, Sztompka z domu. To była pierwsza spikerka Polskiego Radia, jako kobieta.

W 1939 roku dziadek zmobilizowany idzie z transportem bankowym do Rumunii. Babcia natomiast z moją mamą i z najmłodszym synem, wujkiem Zygmuntem, przez Lwów dostaje się z powrotem do Warszawy. Mieszkają w czasie wojny w różnych miejscach w Warszawie. Trochę u rodziny, trochę w okolicach Wilanowa. Babcia zaczyna pracować w ZUS-ie. Mama, jak wybuchła wojna, miała czternaście lat, więc zrobiła tylko jedną klasę gimnazjum. Podczas wojny chodziła do takiej szkoły gospodarczej, gdzie uczyła się wszystkiego: gotowania, opieki nad dziećmi, haftowania. Mogłaby być doskonałą przedszkolanką. Później nam, dzieciom, robiła zawsze na wszystkie szkolne zabawy przewspianiałe różne stroje. Miała po prostu dryg do tego. Potem babcia ją wciągnęła do ZUS-u. I tam pracowała w dziale gospodarczym.

W 1943 roku przez koleżankę z ZUS-u została wciągnięta do AK. Nie podam w tej chwili nazwiska tej pani, bo to chyba nie ma znaczenia, bo przecież poznawano się nie po nazwiskach, tylko posługiwano się różnymi pseudonimami. W 1943 roku mama została wciągnięta do AK. Jak wybuchło powstanie, to mama zarzuciła na ramię swoją torbę i poszła. Ze swoją mamą przez cały czas powstania nie miała kontaktu. Mama w czasie powstania warszawskiego była łączniczką, nie żołnierzem walczącym, ale łączniczką. I była w tak zwanej „Koszczie”. „Koszta”, czyli kompania sztabowa, inaczej kompania ochrony sztabu. Szefem tego był późniejszy generał Ścibor-Rylski. I on mamie później po wojnie podpisywał dokumenty, nawet uaktualniające jej przynależność, bo pamiętał mamę. Pełniła dyżury nocne przy radiostacji. Przenosiła meldunki. Pomagała podczas ataku na PAST-ę. Kanałami, jak Niemcy już tam wchodzili, nie mogła przechodzić, bo nikt jej nie chciał wziąć, gdyż była bardzo wysoka. Miała metr

siedemdziesiąt osiem. Była wysoka i do kanałów by nie weszła.

Cały czas była ze swoim zgrupowaniem na ulicy Moniuszki. To jest bardzo blisko kościoła świętego Krzyża. Jak trwały walki w kościele świętego Krzyża, to oni byli obok. W książce, w której Władysław Bartoszewski opisuje wszystkie dni powstania, jest zdjęcie mojej mamy, która biegnie na tyłach kościoła świętego Krzyża. Kościół płonął, a za kościołem była księgarnia. I tam trzeba było ratować, wyciągać książki, bo tam się też wszystko paliło. I jest właśnie zdjęcie mojej mamy, jak biegnie w tamtym kierunku. Cały czas byli na Starówce na ulicy Moniuszki.

W połowie września Niemcy już zaczęli tam wchodzić. Nie dało rady tam już się po prostu utrzymać. Mama cały czas była związana z budynkami zusowskimi. Tam się też kontaktowali i tam mieli swoje bazy. W momencie kiedy Niemcy wchodzili do ZUS-u, pociski spadły w ten sposób, że w pewnym momencie zrobiło się zupełnie biało, potem ciemno i znowu biało, bo najpierw spadły tynki, później sadza poszła z komina. Tak więc oni stamtąd wychodzili jak jakieś potwory. To było straszne. Kiedy Niemcy wchodzili do ZUS-u, mama nie chciała, żeby ją po prostu potraktowali jako łączniczkę, powstańca. Chciała wyjść jako cywil. I to ją właściwie uratowało. Zbiegła do podziemi, gdzie było archiwum zusowskie. Zdjęła swoją opaskę i wraz z legitymacją wsunęła między różne dokumenty. Czy ktoś to znalazł? Do dnia dzisiejszego nie ma. Albo to się spaliło, albo ktoś znalazł. Może później ktoś bał się to ujawnić. Może ktoś, kto znalazł, już nie żył, jak Muzeum Powstania Warszawskiego było otwierane. Nie znaleziono już tego.

Później Niemcy ich stamtąd po prostu wyrzucili i one przeszły do klasztoru wizytek na Krakowskim Przedmieściu. Wizytki są klauzurowymi siostrami. Niemcy to uszanowali. Do piwnic sióstr wizytek został przeniesiony szpital zusowski. Mama pomagała przy tych chorych w tym szpitalu. W momencie kiedy Niemcy już opanowali Starówkę, siostry zostały, natomiast szpital trzeba było ewakuować, więc pozwolono zorganizować konie, wozy, żeby lżej było rannych na te wozy poprzemienić.

Mama wyszła z powstania 17 września, bo już ta ich grupa nie miała jak się tam utrzymać dalej. Nie było możliwości przeniesienia się gdzie indziej i ona wyszła z koleżankami razem z tym szpitalem, jako opiekunki szpitala. Mama mówiła, że się poowijały czymś, że były niby ranne. I pojechały tymi wozami. Niemcy do granic Warszawy ich jeszcze eskortowali. Jak wyjechali poza granice Warszawy, to woźnica wjechał w las, obejrzał się i powiedział: *Jak chcecie, to ja was nie widziałem*. I one we trzy po prostu się ulotniły. Przez Podkowę Leśną, Milanówek mama dotarła do Krakowa, gdzie spotkała się ze swoją mamą, ze swoimi dwoma braćmi i cicią, siostrą mamy. W Warszawie powstanie się jeszcze kończyło, a one już były w Krakowie. Później ZUS też przeniósł się do Krakowa. Gdy nastąpił koniec powstania, to już byli w Krakowie. Na tym się skończyły losy mojej mamy, jeśli chodzi o losy powstańcze.

Długo mama na ten temat nam nie opowiadała. A dlaczego nie mówiła? Bała się w tych latach 50. i 60., kiedy myśmy chodzili do szkoły. I tak tato miał ogromne kłopoty. Może nie chcieli, żebyśmy się tym afiszowali w szkole. Nie wiem. Wiedzieliśmy, że była w powstaniu, ale dokładnie to nie. Mama nam czasem opowiadała, jak to było w czasie powstania, ale nie tak, żeby jakoś to rozwijać. Czasem mówiła, że te wspomnienia są dla niej bardzo przykre, że tyle poginęło, że to się tak musiało skończyć. Później w swoich wspomnieniach napisała, że te miesiące powstania to były najwspanialsze miesiące jej życia. Jej wspomnienia umieszczone są w archiwum Muzeum Powstania Warszawskiego. Te wspomnienia pisała wtedy, kiedy prezydentem Warszawy był Lech Kaczyński i Muzeum Powstania Warszawskiego się tworzyło. Mój brat zadzwonił do mamy z Francji: *Mamo, masz napisać. Masz tyle czasu. Siedź i pisz*. Mama tak jakoś nie bardzo chciała. No ale powoli, powoli usiadła i napisała. Mój mąż na komputerze później to przepisał. W ten sposób powstały te wspomnienia. I później na zdjęciach widać [na zdjęciach Eugeniusza Lokajskiego – dop. red.], jak to było. Ten moment, kiedy jej tę legitymację wręczono w czasie powstania i tak dalej.

Gdy Muzeum Powstania Warszawskiego zostało otwarte w Warszawie, to koleżanki mojej mamy zaczęły szturmować: *Śluchaj, ty musisz...* A od czego się zaczęło? Fotografem w tej kompanii był Eugeniusz Lokajski. On jest autorem albumu. Był ich takim jakby nadwornym fotografem. Zginął 25 września w taki dziwny sposób. To był przedwojenny nauczyciel wychowania fizycznego, oszczepnik, brał udział w olimpiadach. I on na Starym Mieście zobaczył zakład fotograficzny. A już mu się skończyły klisze. Zakład fotograficzny, ruiny, ale zakład jest. I on tam wszedł. W tym momencie spadła bomba. Nawet jego szczątków nie znaleźli. Wszystkie rolki w metalowych puszkach zdeponował u swojej siostry, pani Zofii Domańskiej, i ona to zakopała w ogrodzie. Ujawniła te zdjęcia, te filmy, dopiero jak Muzeum Powstania Warszawskiego powstawało. Wcześniej albo się bała, albo nie chciała, nie wiem.

W Muzeum Powstania Warszawskiego wywołano te klisze. No a tam było ileś zdjęć mojej mamy. Na otwarciu muzeum, na murach otaczających, była wystawa „Dziewczęta powstania”. Między innymi były tam dwa zdjęcia mojej mamy, takie na półtora metra. Podpisane tylko, że to dziewczyna powstania. Zobaczyła je Zosia, koleżanka mojej siostry, z którą się znały od piątego roku życia i mieszkały obok siebie na Żoliborzu. Zwracałam się do niej „ciociu” do końca jej życia. Ona zawsze mi mówiła: *Przyjeżdżaj do mnie jak do matki*. Więc ona poszła od razu do organizatorów i mówi: *Przecież ja tą panią znam*. Powiedziała, kto to jest, jaki miała pseudonim, numer telefonu, adres do Wrocławia, wszystko. Moja mama kiedyś zobaczyła w skrzynce grubą kopertę. Otwiera kopertę iomalże nie dostała zawału. Otwiera, a to jej zdjęcia powstańcze. Te zdjęcia są na takich grubych tekturach z pieczętką, to jest własność muzeum. Więc mama mogła z tego zrobić odbitkę tylko na własny użytek. Nie można tego kolportować. Tych zdjęć jest trochę.

Data i miejsce nagrania: 24 kwietnia 2023, Dzierżoniów

Rozmawiała: Beata Hebzda-Sołogub

Redakcja: Jadwiga Horanin